

Jerzy Janicki

Pamięć Lwowa

Niepodległość i Pamięć 13/3 (24), 305-310

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jerzy Janicki

Warszawa

Pamięć Lwowa

Po okolicznościowych zwrotach skierowanych do Jego Magnificencji Rektora prof. Stanisława Niciei, Wysokiego Senatu i Eksceleencji arcybiskupa Alojzego Nosola, świeżoupieczony doktorant Uniwersytetu Opolskiego wygłosił następującą prelekcję:

Przez całe moje ponad już sześćdziesięcioletnie zawodowe życie polegające wszak na takim układaniu i dobieraniu do siebie słów, aby unikać frazesów, banałów i truizmów, właśnie dziś – niestety – nie jestem w stanie niczego więcej wymyślić ponadto, że jestem niebywale wzruszony i że po prostu: dziękuję, mówiąc po lwowsku – cajerączki.

To zaiste zdumiewające, że spotyka mnie to akurat w Opolu, z którym wiąże się moje drugie co do wielkości przeżycie, którego nie jestem w stanie zapomnieć. W tym celu zmuszony jestem w tej chwili cofnąć się myślami wstecz o całych lat sześćdziesiąt, kiedy jako osiemnastoletni dziennikarz sportowy pracowałem we wrocławskim „Słowie Polskim”. To były lata prawdziwego pionierskiego życia na tych ziemiach nazywanych odzyskanymi, życie z telefonami na korbkę czy z maszynami do pisania bez polskich czcionek. I otóż raz w tygodniu zamieszczał w tym „Słowie Polskim” eseje historyczne autor nazwiskiem Tadeusz Szafraniec mieszkający w Opolu. Były to jak na owe czasy i jak na prowincjonalną bądź co bądź gazetę, eseje najwyższej literackiej próby, aż zadziwiająco erudycją autora, stylistyką i znawstwem dolnośląskiego folkloru. Toteż kiedy zdarzyło się, że nastąpiła nagle aż dwutygodniowa przerwa w nadsyłaniu esejów, zaniepokojona redakcja postanowiła pchnąć do Opoła specjalnego swego wysłannika, aby na miejscu wyjaśnić przyczyny nagłego milczenia tak pożądanego autora. Los padł na mnie, jako że byłem najmłodszy, a nadto ledwie zajmowałem się sportem, czyli czymś kompletnie idiotycznym i bez znaczenia.

W Opolu udałem się natychmiast pod wskazany adres, niestety nie pamiętam już dziś nazwy ulicy, ale na pewno zapamiętałem, że miało to być pierwsze piętro i numer mieszkania „sześć”. Jednocześnie z naciśnięciem dzwonka przed oczami wyrosła mi mosiężna tabliczka z nazwiskiem lokatora o zupełnie innym brzmieniu niż Tadeusz Szafraniec. Już samo to inne nazwisko wprawiło

mnie w popłoch, sądząc jednak że pomyliłem drzwi, już miałem od nich odejść, kiedy w progu stanął przede mną jak żywy – Stanisław Wasylewski właśnie. Nie pora tu wyjaśniać dlaczego Wasylewski pisywał swe eseje ukrywając się pod pseudonimem Szafraniec, pora natomiast, by dzisiejszemu pokoleniu wyjaśnić kim w ogóle był Stanisław Wasylewski i dlaczego nogi ugięły się pode mną na sam jego widok. Albowiem poczułem się wtedy jak rekrut postawiony nagle przed generałem, jak wikary w obliczu kardynała... Ani cienia przesady...

Stanisław Wasylewski – lwowski pisarz, członek Polskiej Akademii Literatury, stypendysta Ossolineum, po Bohdanie Januszu, Franciszku Jaworskim czy Józefie Białynia Chołodeckim wielki kontynuator ich eseistyki badającej historię Lwowa, a nade wszystko stylistą, jakich już dziś się nie spotyka. Obok wielu innych książek Wasylewski to nade wszystko autor dwóch pozycji, które my Lwowiacy traktowaliśmy jak Biblię. To zatem „Lwów” z ekskluzywnej serii „Cuda Polski” i wegnerowskie wydanie „Bardzo przyjemne miasto”. Jeszcze do dziś mam w uszach tę niesamowitą frazę i sarmackość języka, kiedy Wasylewski pisał na wstępie: „Rozkaż założyć czwórkę rysaków do landary srebrnokutej, niech furjer ze strusim piórem siądzie na kozle od parady – pojedziemy do bardzo przyjemnego miasta”. A któżby dzisiaj był w stanie dorównać tej elegancji frazy, powiewności i szlacheckości języka? Jak mawiał niezapomniany Henryk Vogelfaenger, czyli legendarny Tońko: „dzisiaj już takich nie robią”. Zresztą po co? Dzisiaj pisuje się sms-y...

Spędziłem wtedy z otwartą gębą całą godzinę u mistrza i dzisiaj już wiem z całą pewnością, że była to dla mnie najważniejsza godzina pobierania lekcji z języka, szacunku dla historii i miłości do rodzinnych ziem. Jeżeli dziś, tu w tej auli, słyszę z ust Jego Magnificencji Rektora, że przyznawany mi właśnie zaszczytny tytuł naukowy jest wyrazem mojej fascynacji Lwowem i Kresami, źródłem nostalgii ale i przedmiotem historycznych dociekań, to nie mam ani cienia wątpliwości, że pierwszym moim mistrzem i preceptorem był właśnie Stanisław Wasylewski.

Wówczas oczywiście takich jak ja, ze wschodnim kresowym życiorysem, żyjących z garbem wygnańców i tułaczy, były setki tysięcy. Jeżeli dziś mnie się nazywa znawcą kresów, to muszę bez cienia kokieterii gorąco zaprotestować, albowiem takimi samymi znawcami kresów są właśnie wszystkie te setki tysięcy wygnańców, którym historię kresów wykarbowała na grzbietach historia najnowsza. Ale dziś jest ich z każdym dniem coraz mniej i mniej, i obecnie po pięćdziesięciu latach cenzury, podczas których nie wolno wręcz było używać słowa „Lwów”, stanęliśmy wobec dramatycznego stwierdzenia, że oto aktualna wiedza obecnego pokolenia jest niemal żadna. Za sprawą cenzury wyrosły conajmniej dwa pokolenia nieuków, co nie mają nawet zielonego pojęcia o Lwowie, ani o tym co to miasto wniosło na przestrzeni siedmiu wieków w polską historię, w polską kulturę i polską naukę. Niestety... To nie są bezpodstawne oskarżenia, więc żeby je udowodnić, pozwolą państwo na kilka moich własnych doświadczeń.

Oto kiedy mój telewizyjny serial „Polskie drogi” osiągnął sporą popularność, dziennikarz TV zaprosił mnie na wywiad i już przed kamerą, widocznie aby mi sprawić przyjemność, zaczął od pytania na pozór nic nie mającym wspólnego z serialem. Zapytał tedy czy dużo Polaków mieszkało przed wojną we Lwowie. „A jak pan myśli – spytałem go kiedy już jako tako ochłonałem z wrażenia – ilu przed wojną Francuzów mieszkało w Paryżu?” Dopiero wtedy pojął jakim był idiotą. W jakiś czas potem, tym razem po serialu „Dom”, na konferencji prasowej mówiłem o pewnym paradoksie, który sprawił, że ten najbardziej warszawski serial stworzyli akurat – ja – Lwowianin, Mularczyk o korzeniach z Trembowli, a reżyserem był Jan Łomnicki z Podhajec. I oto cóż czytamy nazajutrz w warszawskiej prasie? ...nawet reżyser Łomnicki jest „spod Hajec”. To już nawet nie jest zabawne, to jest tragiczne, do jakiego stopnia współczesne pokolenie nie zna własnej historii i wymyśla jakieś nieistniejące Hajce, a wystarczyłoby tylko choćby raz być na „Zemście”, żeby z ust Cześnika usłyszeć o szabli z Podhajec. A to wszak właśnie takie Podhajce, Trembowle i Zbarże zapisywały tę polską historię...

A już zupełnie dobił mnie przed rokiem inny mędrzec z telewizji, której nazwy przez litość nie wymienię. Oto kiedy nareszcie zezwolono na otwarcie Cmentarza Orłąt we Lwowie i radio jako pierwsze nadało ten komunikat, już po kwadransie miałem telefon z tej właśnie telewizji, abym na gorąco odniósł się do tej wiadomości. Już w parę minut później zawitał u mnie dziennikarz, rozstawiono kamerę i padło pytanie sformułowane dosłownie następująco: „Kiedy pan się przeprowadził ze Lwowa do Warszawy?” Dość jeszcze na razie ubawiony spytałem: „Pan to nazywa przeprowadzką?” Więc postanowił się najwidoczniej poprawić: „miałem na myśli – powiada – kiedy podjął pan decyzję o wyjeździe ze Lwowa?” Trochę już pomału zacząłem tracić cierpliwość, ale wciąż jeszcze w miarę spokojnie odparłem, że to nie ja podejmowałem tę decyzję. „Ależ oczywiście, że rozumiem – chętnie zgodził się ze mną ten idiota – był pan wówczas zbyt młodym, więc tę decyzję podejmowali pana rodzice”. Ostatecznie straciłem cierpliwość. „Panie – odparłem – tę decyzję za mnie podjęło trzech sukinsynów w mieście Jałta. Więc niech pan zwija tę kamerę, dalszej rozmowy nie będzie”.

Są to przykłady porażające! Panowie profesorowie, historycy, naukowcy, korzystam, że w tak ogromnej liczbie jesteście tu dziś na tej sali, zwracam się przeto do was już nie z prośbą, a z apelem: trzeba coś z tym zrobić! Nie pozwólcie na dalsze produkowanie nieuków, którzy mienią się dziś być inteligentami, którymi nie są nawet w połowie. Dziś już nie sposób wszystkiego zwać na dawną cenzurę i obecną źle pojmowaną naszą uprzejmość i przyomykanie oczu na androny wypisywane dziś przez obecnych włodarzy dawnych Kresów. Tych braków podstawowej wiedzy o własnej historii nie można pozostawiać wyłącznie amatorom i dziadkom przekazującym swoje wspomnienia wnukom. Nie może być dłużej tak, by Polak uważający się za inteligenta nie wiedział, że Lwów dał nauce Banacha, Ulama, Steinhaus, Twardowskiego, Weigla, Parnasa, Szajnochę i Smolkę, literaturze: Fredrę, Zapolską, Łozińskie-

go, Pola, Bełzę, który pouczał „kto ty jesteś Polak mały”, i Karpińskiego, którego „Kiedy ranne wstają zorze” śpiewa już dziesiąte pokolenie pobożnych katolickich Polaków. Że Politechnika Lwowska dała nauce Bartla, Mościckiego, Zachariewicza i Kuryłę. Że Kresy to: Czacki, ksiądz Skarga, Ujejski. Że kresowe zamki, to nie tylko fortece i obrona przed zalewem Tatarów, o których ksiądz Rutyna powiada, że gdyby nie te zamki to dziś połowa Europy miałaby skośne oczy. Nawiasem mówiąc ksiądz Rutyna, który tu niedaleko Opola, bo w Kędzierzynie doczekał emerytury, ale natychmiast, już mając ponad osiemdziesiąt lat, powrócił na Podole do Buczacza i tam w warunkach uwłaczających elementarnym warunkom egzystowania, znów tam dla garstki ocalałych po rzeziach Polaków, znów pełni służbę Bożą, dając przykład całemu klerowi jak naprawdę pojmować postannictwo duchowe.

Te zatem wszystkie Trembowle, Zbaraże, Brzeżany, Buczacze i Chocimie, to jednocześnie szerzona przez władków tych zamków i tych magnatów polskich oświata, dzięki czemu powstawały tam takie uczelnie jak Liceum Krzemienieckie zwane wołyńskimi Atenami.

I o tym wszystkim nie wie nic a nic współczesny polski inteligent? A jakież to przyczyny tej porażającej ignorancji? O ile można jeszcze zrozumieć lukę wywołaną przez półwiekową cenzurę dbającą o uległość wobec ZSRR, ale czym wytłumaczyć ten dziś źle pojmowany takt czy jakąś fałszywie rozumianą lojalność wobec nagminnego zakłamywania historii przez Ukraińców i biernego wysłuchiwanie głoszonych przez ich pseudonaukowców tez, że Ossolineum należy się narodowi ukraińskiemu, choć czarno na białym do dziś można wyczytać w testamencie Ossolińskiego, że przekazuje tę placówkę narodowi polskiemu. Że nie Chodkiewicz a Sahajdaczny zwyciężył Turków pod Chocimiem, że – jak kuriozalnie dowodzi jakiś ksiądz Panas – Polacy nawet nie mieli własnego hymnu rycerskiego, a *Bogurodzica* to przetłumaczone z ukraińskiego: *Bohurodycia Diwo*. Że wreszcie słynny zamek w Olesku nie z tego był znany, że tu na świat przyszedł Jan III Sobieski, lecz że ogrodnikiem u pana Daniłowicza (dziadka Sobieskiego) był Mychajło Chmiel – dziadek Bohdana Chmielnickiego, skąd płynie wniosek, że mały Bohdanek odwiedzał tu zapewne w dzieciństwie swego dziadziusia. Jeżeli łączę – jak zwykły był mawiać pan Zagłoba, to niech to zaświadczy Jego Magnificencja tu obecny pan Rektor, który wraz ze mną wysłuchiwał przed rokiem tych rewelacji.

Może to smutne czego tu w tej chwili dowodzę, ale wiem przecież do czego to mówię i że tylko Wy Panowie Profesorowie jesteście w stanie załatać te dziury w obecnym edukowaniu młodych Polaków. W tej chwili te braki edukacyjne nadrabiają jeszcze jak mogą tu na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku dziadkowie i ojcowie, przekazując je synom i wnukom. Do tego zmuszają ich własne biografie, wykarbowane na ich własnych grzbietach przez wojnę, łagry i wypędzenie z ojczyzny. Ta prowadzona przez nich nauka historii nie wymaga podręczników; czasem wystarczy jedno małe zdjęcie, jedna poźółkła fotografia.



Prof. dr hab. Stanisław Sławomir Niciejka, JM Rektor Uniwersytetu Opolskiego wręcza Jerzemu Janickiemu dyplom doktora honoris causa tej uczelni. Obok stoją: prof. dr hab. Czesław Osekowski, recenzent dorobku Doktoranta oraz prof. dr hab. Stefan Grochalski, dziekan Wydziału Historyczno-Pedagogicznego UO. Uroczystość odbyła się w auli Wydziału Teologicznego UO 10 marca 2006 r. w 12. rocznicę powstania tej uczelni na Ziemi Opolskiej. Fot. ze zbiorów J. Janickiego



Doktor h.c. Jerzy Janicki w swoim warszawskim mieszkaniu. Fot. Marcin Smulczyński. Fotografia ze zbiorów Jerzego Janickiego

Mam taką jedną w rodzinnych zbiorach. Jest to pamiątka z ostatniej bożonarodzeniowej wigilii z roku 1938. Już nigdy później uczestnicy tej wigilii nie spotkali się razem. Babcia Karolina wywieziona do Kazachstanu i pochowana w semipałatyńskiej obłastii, rajon Nowaja Szulba. Losy ojca Zdzisława to w pierw obóz dla internowanych w Rumunii, potem Oflag w Doessel bei Warburg. Stryj Stanisław rozstrzelany przez NKWD w więzieniu w Charkowie. Stryjenka Jadwiga – jego żona wywieziona tym samym transportem co babcia, potem przez Persję, Egipt i Anglię, wylądowała aż w Stanach. Tak właśnie myślę, że taka jedna fotografia może dziś służyć za podręcznik i historii najnowszej, i geografii zarazem, kiedy jedna zaledwie kresowa rodzina mogła obdarować swymi losami aż cztery kontynenty naraz: Europę, Azję, Afrykę i Amerykę. Wojna, wojna, wojna – jak wspólna nitka, na którą nanizywały się te kresowe polskie losy. To przecież w końcu nie przypadek, że moje „Polskie drogi” to wojna, że „Tragarz puchu” to wojna, że tryptyk „Umarłem aby żyć” to wojna.

Wiemy wszak jednak Panowie Profesorowie, że taka domowa, familiarna edukacja to nie prawdziwa nauka. Ci dziadkowie, ojcowie i ich kulejąca pamięć nie wystarczą, aby wlewać rozum do głowy obecnym pokoleniom mianującym się inteligentami, a to ich ciągle przeżuwanie czasu już nie perfectum a wręcz plusquamperfectum nie zastąpi Waszej wiedzy i erudycji.

Aż mi przykro, że tyle zółci przyszło mi wylać w dniu dla mnie tak uroczystym jak dzisiejszy, ale wszak nie na dzisiejszej dacie kończy się nasza działalność. Powściągnąwszy zatem dalsze dąsy i sarkania, raz jeszcze muszę wyznać, że dzień dzisiejszy jest dla mnie dniem w moim zawodowym życiu wyjątkowym, że nigdy nie zapomnę, iż dzięki łaskawości i przychylności tego Waszego wspianiałego uniwersytetu, umożliwiał mi się stanąć w jednym rzędzie też z uhonorowanymi przez Was już wcześniej Lwowiakami, a moimi przyjaciółmi Adamem Hanuszkiewiczem i Wojciechem Kilarem, a także z arcyłwowiakiem jakim był Stanisław Lem, że mam honor dzielić ten tytuł też z dzisiejszym laureatem – mistrzem mowy polskiej prof. Janem Miodkiem, z którym łączy mnie nadto i telewizyjny Superwiktor.

Za te wszystkie przeżycia i uczucia, których dziś doznałem raz jeszcze gorąco dziękuję. I na tym właściwie mógłbym już poprzestać, gdybym kątem oka nie dojrzał znajdującego się tu na sali prezesa Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-wschodnich doktora Andrzeja Kamińskiego. Ta jego tu obecność sprawia, a nawet wręcz zmusza mnie do zakończenia tego mojego wystąpienia podług obowiązujących ostatnio u nas standardów. Przeto kończę: Panie Prezesie, melduję o wykonaniu zadania.